

**ELIZA  
ORZESZKOWA**

Z POŻOGI

# Eliza Orzeszkowa

## Z pożogi

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55843314](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843314)*

*Z pożogi:*

### Аннотация

Cykl krótkich wspomnień z nastoletniej młodości autorki podanych w lekko fabularyzowanej formie. Lektury, spacer, pierwsze literackie inspiracje przepełnione młodzieńczymi wzruszeniami. Siedem krótkich opowiadań jest czymś pośrednim pomiędzy dziennikiem a fikcją literacką. Nie ma sensu zresztą dociekanie, na ile jest to zmyślenie, a na ile wierny zapis wydarzeń – Orzeszkowa stara się przede wszystkim uchwycić ten szczególny moment w swoim życiu, w którym kształtowała się jej wrażliwość językowa, kulturowa i społeczna. Innymi słowy: dojrzała literatura o pensjonarskich czasach. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wyczucie na problemy społeczne – w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

# Содержание

I. Dom Batorego	4
II. Tam na błoniu błyszczący kwiecie...	9
III. Wazon aurykli	24
Конец ознакомительного фрагмента.	36

# Eliza Orzeszkowa

## Z pożogi

### I. Dom Batorego

Miałam lat siedm, a siostra moja Klemunia, zaczynała rok dziesiąty. Czytywałyśmy już wiele. W domu naszym istniała tradycja czytania i pisania po macierzystym dziadku, który był jednym z tych, co spisywali ogromne i często ciekawe *Silva rerum* i po ojcu naszym, uczonym prawniku, a niegdyś prezesie jednej z tutejszych łóz wolnomularskich. Księgozbiór ojca napełniał dwie wielkie i ciężkie szafy; szafka lekka, nieduża, ze zbiorem lekkiej i nowiej literatury, zdobiła pokój naszej matki. Pozwalano nam brać książki ztąd i zowąd, czytać, ile i co się nam podobało. Myślą i wyobraźnią wcześniej zaczęłyśmy błądzić w krainie przeszłości: umiałyśmy na pamięć pieśni Niemcewicza, żywoty wielkich ludzi czytywałyśmy razem we dwie, skurczone w kątku jakiegoś pokoju, z rozpalonemiczołami, co chwila w uniesieniu i zapale ściskając się za ręce. Kochałyśmy się bardzo. Klemunia miała zdolność do rysunku, rysowała więc i wycinała z papieru domy, drzewa, ludzkie i zwierzęce postacie, z których układałyśmy i ustawiałyśmy sobie różne historyczne miejsca i sceny, jako to: pałace i dwory królów, hetmanów, wojewodów, wjazdy

poselstw do zagranicznych miast, orszaki ślubne i t. p. Raz, w ten sposób, upostaciowałyśmy przed sobą na stole, czy kobiercu, orszak weselny Zygmunta-Augusta i Barbary Zapolskiej; innym razem było to rozstanie się Jadwigi z Wilhelmem, to znowu rozmowa Goworka z Leszkiem Białym. Razu jednego takeśmy sobie nabiły głowę historią Karola Chodkiewicza, że o szarej godzinie odegrałyśmy we dwoje scenę jego śmierci. Ja, czyjaś laskę ze sporym nagłówkiem w rękę trzymając, leżałam na sofie i cichym przerywanym głosem deklamując odpowiednie strofy Niemcewicza, tę hetmańską buławę oddawałam siostrze, która na tę chwilę była Lubomirskim. Gdy już umarłam, wstałam znowu, aby na środku bawialnego pokoju zwycięzcę z pod Chocima pogrzebać. I nietylko pogrzebałyśmy go, ale jeszcze drobnymi naszemi rękoma zaczęłyśmy wznosić mu pomnik. Zaczęłyśmy ściągać wszystkie poduszki z kanap, na nich ustawiać krzesła, na krzesłach składać różne szkatułki, graciki, zbierane z całego mieszkania. Nagle, subtelna ta budowla zachwiała się w swych podstawach, jedno krzesło upadło, pociągnęło za sobą inne, graciki rozsypały się z brzękiem szkła i metalu, do pokoju wbiegły babka i nauczycielka nasza i... kazały nam stanąć w dwóch przeciwległych kątach: Klemuni za fortepianem, mnie za kanapą. Kara ta trwała minut kilka, poczem kazano nam zasiąść do lekcji... Otóż miałam lat siedm, a Klemunia zaczynała rok dziesiąty, kiedy babka nasza, wysoka i wysmukła kobieta, w czarnej sukni podobnej krojem do zakonnego habitu i w śnieżnym czepku na mleczno siwych

włosach, rzekła nam dnia pewnego: „Pójdziemy na przechadzkę!  
“ Chowano nas bardzo miękko i niehygienicznie; na wsi biegałyśmy wiele i swobodnie, ale w mieście wywożono nas tylko na świeże powietrze; pieszo nie wychodziłyśmy prawie nigdy. Przechadzka była nam przyjemnością o tyle żywą o ile niepospolitą. Więc obok staruszki, zwawo jeszcze chodzącej, dreptałyśmy śpiesznie i wesoło, gdy u końca Brygidzkiej ulicy, babka rozkazała nam stanąć i wskazując na dużą, kilkopiętrową kamienicę powiedziała, że nazywa się ona domem Batorego. Stefan Batory! oho! był to nasz dobry znajomy i zajmował nas ogromnie. Jaktó? On tu był, w tym domu mieszkał? A co on tu robił? Więc tu on umarł?

---

Na wązkim chodniku, u stóp wspaniałego kościoła, stara kobieta w sukni do zakonnego habitu podobnej stała długą chwilę, z obu stron trzymając w swych pomarszczonych dłoniach ręce małych wnuczek, które na wyścigi szczebiały, zapytywały, drobnymi palcami wskazywały bramę domu, nad którą widać było jeszcze zarys wysokiego dachu dawniej królewskiej bramy i liczne okna, po których słońce, schylające się do zachodu, snuło złote sieci i zapalało szkarłatne pochodnie.

Dnia tego, o szarzej godzinie, Klemunia w roli Stefana Batorego, leżąc na sofie, umierała, a ja u jej wezglowia stojąc, byłam Janem Zamoyskim i płakałam tak, jak pewnie mężny i

mądry kanclerz nie płakał nigdy. Nagrobka jużesmy nie wznosiły i do kąta nam iść nie kazano. Tylko nazajutrz miałyśmy trochę kłopotu z Chapsalem i Noëlem. Klemunia nie potrafiła wyliczyć wszystkich nieforemnych słów francuzkich, a ja nie rozróżniałam dobrze końcówek *du futur simple* od końcówek *du conditionnel présent*. Pogrzeb Batorego zabrał nam wiele czasu i w głowach miałyśmy cały wysoki dom, noszący jego imię.

\*

Było to przed tygodniem. Jakże to już dawno, dawno, dawno, odkąd babka i siostra moja spoczęływ mogiłach! W mieście wichry i ogień szaleją, burza, niszcza, w popiół zmieniają siedliska, a w rany serca ludzkie. Powietrze, pełne gryzącego dymu, rozpacznej muzyki kościelnych dzwonów, krzyków i jęków ludzkich. Na starym obszernym siennym rynku, piętrzą się góry sprzętów i tłomoków, tłoczy się ciżba zląkniona, śpiesząca, splanana, ale ognia tu nie widać jeszcze. Może nie przyjdzie, może w drodze wstrzymają siłę tę, czy tego potwora. Mówi się tu o ogniu, jak o istocie żyjącej: „czy on tu przyjdzie? czy już nadchodzi? czy go nie powstrzymają?” Jeżeli przyjdzie, trzeba będzie z temi już zdruzgotanemi dostatkami swemi uciekać przed nim dalej. – Dokąd? – Pod stopy bernardyńskiego kościoła, na obszerny podwórzec. – A jeżeli i tam dogoni? – Ha! to już chyba za Niemen, het, za wodę, w Boże pole, pod nagie niebo – nie, nie nagie, bo grubym czarnym dymem podszyte

jak kirem! Nagle – okrzyk, zagłuszający dźwięki dzwonów i przenikliwe tony wojskowych tręb: Przyszedł! Oto już go widzimy! Nad niskimi dachami siennego rynku strzeliła świeca ogromna, jaskrawa, wiatr miotał nią na wsze strony, wzdymała się, rosła, buchała kłęбами dymu... rozległ się huk podobny do armatniego strzału, potem drugi raz zagrzmiało przeciągle i strasznie... Mężczyzna jakiś w średnim wieku, w opalonym przez ogień ubraniu, z twarzą czerniałą od dymu, przeskakując kufry, tłomoki i obalone stołki, śpiesznie koło mnie przebiegał.

Z całej siły pochwyciłam go za ramię i, wskazując olbrzymią świecę, która już wiele innych roznieciła dokoła, zapytałam:

– Panie! co tam gore? co tam z takim łoskotem runęło?

Drżałam. Jego brwi ściągnęły się kurczowo nad oczyma, które w méj twarzy utopiły krótkie, ale głębokie spojrzenie.

– Dom Batorego! – odrzekł i pobiegł dalej...

Biedna, tak już dawno w grobie leżąca, siostró moja! na tym pogrzebie nie byliśmy już razem!

## II. Tam na błoniu błyszczący kwiecie...

Byłam podówczas młodą, szczęśliwą, pełną nadziei, złudzeń i zapału. Ze wsi do miasta przyjeżdżałam czasem tylko, na krótko, ale w wolnych chwilach lubiłam zwiedzać, nie tyle ulice, ile uliczki i zakątki miejskie, które mnie pociągały mnóstwem oryginalnych, a często i malowniczych obrazków, różnorodnością swych mieszkańców, czémś naksztalt nieprzeczytanéj jeszcze i zwolna odchylającéj się karty powszedniego życia ludzkiego. Wiedziałam, co i jak dzieje się w domach wysokich i ozdobnych; dziejów i wewnątrz ścian ciasnych i niskich nie znałam. Ciekawość wyobraźni łączyła się we mnie z serdecznym pociągiem ku głębiom, ku najtajniejszym głębiom morza społecznego.

Raz, okrążywszy miasto, po długiej przechadzce nad spadzistym i w mnóstwo szczerb wyżłobionymbrzegiem Niemna, weszłam na ulicę zwaną Podole. Nazwa ta, nie przynależy właściwie jednéj ulicy, lecz całej części miasta, spływającéj zwolna po łagodnym spadzie wzgórza, od szczytu, na którym wznosi się gotycka strzelista wieża bernardyńskiego kościoła, aż ku ostatnim krawędzią piasków nadniemeńskich. Całe to miejsce, gdy się nań z góry spogląda, ma pozór warcabnicy, ułożonych z szarych, drewnianych domów różnéj wielkości i rozdzielających je, w zagony pokrajanych rozłożystemi drzewy zieleniejących ogrodów. Lecz środkiem

tęgo miejsca, pełnego uliczek, zakątków, zawrotnych, wązkich przejść pomiędzy płotami, służących za przejścia dziedzińców, biegnie ulica prosta, szeroka, długa, przyozdobiona świetnym i wysokim łukiem arkady, nad którą przebiegają pociągi kolei żelaznej. Do dziś, ulica ta zachowała postać taką, jaką miała podówczas, przed kilkunastu laty, gdy, zmęczona długą przechadzką, szłam zwolna wążutkiem jej chodnikiem, z ciekawością i mimowolnym uśmiechem sympatii przypatrując się jej niskim, schludnym domkom, a często i starym, współpróchniałym lecz zawsze czystym i w zieloności ogródków utopionym chatkom. Tu, w małym okienku kwitnie czerwona pelargonia lub mała miesięczna różyczka, widać, że pod niziutkim tym dachem garncarza, szewca albo murarza, żyje młodziutkie dziewczę na wydaniu. I prawda, bo otoż nad niskiego płotu wychyliła się głowa dziewczęcia, z żółtym kwiatkiem w trochę rozczochranych włosach, a błysnąwszy ku mnie rumianym buziakiem i parą błękitnych oczu, oblała się rumieńcem, zachichotała i znikła. Gdzieindziej, z-za ogrodzenia, widać jabłonie i grusze, niby mlecznym i różowym potokiem oblane powodzią kwiecica. Tam, z-za większych już nieco okien, ze ścian trochę wyższych wylatują na ulicę dźwięki stuletniego może bo bardzo ochrypłego fortepianu. Znać, że mieszkający tu pan majster, gorliwie już i starannie edukuje swą dziatwę. Chłopcy podrostki, bosi i w krótkich spencerkach, uganiają się z krzykiem po piaszczystym środku ulicy; paru z pomiędzy nich, o furtkę w płocie oparci, z powagą o czémś

rozprawiają; inny samotny jakiś, w obu dłoniach tuli gołębia o srebrnych skrzydłach i różowy dziobek jego, miłośnie do swych bladawych ust przybliża. Od widniejących pomiędzy domami brzegów Niemna, mieszczki w krótkich spódnicach i kolorowych chustach na głowach, z trudnością wspinają się po stromym wzgórzu, z wiadrami wody na ramionach. Idąc, rozprawiają głośno, wykrzyki ich są czasem ostre i kłótlive, lecz wśród nich odzywa się też nieraz donośny serdeczny śmiech wesołości szczerzej i czystej. Dokoła tych gospodyń i matek, uwijają się i płasają dzieci różnego wieku, w toaletach bezwyjątkowo wielce zaniedbanych, krzykliwe, ruchliwe, wesołe jak samo dzieciństwo. Niejedna z tych drobnych istot potyka się o kamień albo bruzdę, wyżłobioną w twardym gruncie wzgórza, pada i nakszałt piłki stacza się pod sam brzeg wody. Nie pociąga to za sobą następstw żadnych; uczucia matek i ciała dzieci nie są tu miękkie i rozpieszczone; wszyscy tu do wszystkiego, do stromiej góry i przerwy nieznoszącej pracy, do ognia, wody i bólu przywykli.

Był to piękny i wiosenny wieczór. Czysta pogody spływała na cichą ulicę; z ogrodów płynęły rzeźwość rosy i zapachy kwitnących drzew; w oknach tu i owdzie błyskały płomyki ognisk. Przeciwnym chodnikiem szedł śpiesznie znany mi trochę majster murarski. Czy nie jego to córka uczy się w tym porządnym domku grać na fortepianie? bo i on sam oto ma na sobie wcale porządny tużurek, a na piersi mu błyska pozłacany, może i złoty łańcuch od zegarka. Uchylając czapki,

pozdroził mię uprzejmie; za nim z wielkim stukiem grubych butów postępowała, może po dzienną zapłatę idąc, gromadka czeladników, robotników w długich od szyi do stóp płóciennych fartuchach. Za przykładem przewodnika swego, uchylili też zlekka swych, wapnem ubielonych czapek.

– Dobry wieczór!

– Dobry wieczór!

Samotne, bladawe chłopię, trochę jękliwym, miłośnym głosem przemawiało do swego gołębia. – Lulu! Lulusiu! Mieszczka z wiadrami na ramionach, przeszła mi drogę. – Dobry wieczór!

Nagle, w ciszę tę i pogodę, w te dźwięki życzliwe ziemi i ludziom, wmieszał się zdala przyplływający krzyk pieśni żołnierskiej. W długim, na żółto pomalowanym gmachu wojskowych koszar, wznoszącym się wśród sąsiedniej ulicy wysoko po nad niskimi domkami Podola kilkaset głosów buchnęło w wieczorną pogodę huczną, szumną, skoczną i niesforną, hulaszczą i wojowniczą pieśnią. Z drugiego końca ulicy, z-za arkady napełniającej się cieniem, dał się słyszeć śpiew inny; piękny, czysty, basowy głos mężki, w głębi jakiegoś dziedzińca, czy ogrodu, zawiódł tam donośnie starą piosenkę:

«Za Niemen tam precz,  
Ach, pocóż za Niemen?  
Czy kraj tam piękniejszy,  
Kwiecistsza tam błoń...



ogorzenia cerę. Tylko co snadź powrócił od pracy i spożył wieczerzę, bo wypróżniona po zsiadłém mleku misa, ze sterczącą w nią łyżką drewnianą, stała przy nim na ziemi. Obok niego, pochylona nieco nad zagonem, siedziała kobieta młoda jeszcze i dość ładna, z rysamidelikatnemi, a grubemi, cienkimi rękoma, któremi wyrywała dzikie zielsko z gęstwiny marchwi i buraków. W pobliżu tych dwojga ludzi, trzyletnia dziewczynka, w grubiej koszuli, obejmowała szyję sporego żółtego kundla.

– Żółtas na! Żółtas jedz! ciuciu! ciuciu! ciuciulku! szczebiotało dziecko. Ojciec śpiewał:

A dziewczyna jak malina...

Matka syknęła zcicha, snadź pokrzywa ją ukłóła mocno w palce; jednak, z nad zagona, przeciągle zawtórował mężki bas:

Niesie koszyk róż...

Cicho, cichutko zamknęłam furtkę. Ulica była już prawie pustą. Obok mnie przechodziła kobieta praczka, jak wnosić było można po zawiniętych do łokci rękawach i węźle bielizny, dźwiganym na plecach.

– Moja pani, kto mieszka w tym domu?

Stanąła, podniosła na mnie spłowiałe i zmęczone oczy, uśmiechnęła się gapiowato lecz łagodnie.

– A kto tu ma mieszkać? Wiadomo, Jan Czerniawski.

– Któż to taki, ten Jan Czerniawski?

– A kto ma być? Wiadomo murarz. Czy pani ma do niego jakiś interes?

Interes! miałam do niego jeden z najważniejszych interesów całego mego życia! Chciałam wiedzieć jak żyje, co myśli i czuje człowiek, mieszkający w malutkiej chatce, której okienka dotykały niemal ziemi...

Ulica była prawie pustą i zupełnie cichą. Wysoko nad nią, z wielkiego gmachu koszar wojskowych, szumiała i szalała huczna, hulaszczą, skocznymi i jęklivymi nuty zanosząca się pieśń żołnierzy. Z innej strony, zdaleka, szynk hałasował pijanym śmiechem i kłótnią.

Za białym ogrodzeniem, w zielonym ogrodzie, dziecko zaśmiało się srebrzyście, pies zaszczekał, zcicha zaszumiały kwitnące drzewa.

Stój, poczekaj moja duszko,  
Zkąd drobniutką strzyżesz nóżką...

Matka wołała na dziecko:

– Marylko! Marylko! Marylko!...

\*

Lata jak paciorki przesunęły się po nici, częściej czarnej, niżeli różowej! Doświadczenia i widoki życia rozwiały bez śladu moje dawne urojenia o ziemskich sielankach i rajach; więcj

widziałam kałuż, niż strumieni, gliny, niż kryształu, kamieni, niż kwiatów. Są klimaty, które w sposób szczególny dusze ludzkie poddają metamorfozie i topią skrzydła Ikarów. Jakże daleko, daleko za mną pozostał ten wieczór wiosenny, kiedym z pogodą w duszy, a upałem w sercu zwiedzała ciche Podole! I jakże niepodobnemi z sobą bywają różne momenta życia. Przyszedł moment taki, nie w wieczór, ale już w pewien ranek wiosenny, gdy z przeraźliwym blaskiem i dławiącym dymem pożogi, wzbił się ku niebu z kruszących się ścian mego miasta, „krzyk trwogi i rozpacz wielu tysięcy ludzi”. Chata moja stała w ogrodach, daleko od pierwotnego źródła pożaru; przez czas jakiś można było mniemać, że żywioł niszczący dosięgnąć jej nie zdoła. Ale już o południu, przyjaciele i życzliwi, przybiegli z wołaniem; „idzie tu! już idzie! i przyjdzie niezawodnie, ratuj, co możesz!” Tak, szedł istotnie i niezawodnie przybyć musiał. Zielony mój dziedziniec już był szarym od dymu, w którym wiły się i przelatowały złote roje iskier; stare wysokie klony moje, wicher rwał w różne kierunki; z za kilku sąsiednich domów, widać było chwiejącą się w powietrzu, szeroką, ognistą chorągiew... Ratować! Obejrzałam się dokoła. Chata niezbyt mała, a tak różnych różności pełna, że w żadnym kącie już-by chyba jednego gracika, na żadnym stole i w żadnej szafie żadnej książki zmieścić nie można. Wozów i koni, dnia tego za żadną cenę dostarczyć sobie niepodobna. Iluż trzeba ludzkich grzbietów, aby na sobie dźwignęły to wszystko, książki szczególnie; mnóstwo książek bardzo ciężkich a jak drogich, ten tylko powie, kto

smutne swe serce orzeźwiał kiedy w pracy umysłu, kto umie kochać to, czego na cielesne swe oczy nie widzi i tych, których nie zna, a przecież tak z bliska, tak serdecznie zna... Najlepszy z przyjaciół moich przywiódł mi kilku silnych i uczciwych chłopów; brali i wynosili z domu, co mogli, ale przedmioty najcięższe... nadewszystko książki, biurka moje... Powiodłam po nich okiem. Żegnajcie, żegnajcie! po was, zarówno jak i po tych ścianach, wśród których tyle, tyle przeżyłam: za pół godziny pozostanie garść popiołu.

Wtém drzwi szklane, które co chwila roztwierane na oścież i przez szalony wicher zamykane z trzaskiem i przeraźliwym dźwiękiem rozbijanych szyb, rozwarły się znowu, przed wchodzącą gromadą ludzi. Było ich dziesięciu, wysokich, silnych, z podniesionymi głowami i ramionami, już wyciągającymi się do pracy; na czele ich szedł człowiek barczysty, z twarzą śmiałą i energiczną, z kruczą, gęstą, a na pół już osiwiąłą czupryną, z płomieniem zapału w oczach.

- Kto panowie jesteście?
- Murarze z Podola.
- Kto was tu przyprowadził?
- Jan Czerniawski.

Jakże się zmienił! I po nim snadź życie to nie spływało, jak po kamieniu woda. Osiwiał, plecy miał od dźwiganych cegieł przygarbione nieco, naśniadém czole tyle zmarszczek, ile zapewne przez lat kilkanaście, od owego dawnego wiosennego wieczora, przeniósł smutków i trosk.

– Nic to! Héj, chłopcy! Na plecy wory te i węzły! Do téj szafy dwóch wystarczy, ten stół, sam jeden, kochanku, podźwignąć musisz! Żwawo! Ostrożnie! Na sienny rynek! tam jeszcze ognia niéma! Wracać prędko, galopem, a jednego do pilnowania zostawiać! Ej, żwawo! żwawo! nie jeden tylko ten dom w nieszczęściu!

I widać było, że nie w jednym już domu czynili to co tutaj; widać to było z osmalonych przez ogień ich ubrań i strumieni potu, lejących się po twarzach czarnych od dymu. Jeden mniej silny, czy więcej zmęczony, mocował się z ciężkim worem, chcąc go sobie na plecy zarzucić i nie podoławszy zadaniu zaklął i ciężar na ziemię opuścił. Lecz wódz przyskoczył.

– Wstyd! młody a niedołęga! – Pochwycił kilkopudowe brzemie i w mgnieniu oka obarczył niém swe plecy. Niemłody, nie był tak silnym, jakim się chciał okazać, bo mimowolne stęknienie wydobyło się z jego piersi, krwisty rumieniec trysnął na czoło, górna część ciała przygięła się prawie do ziemi. Nic to, zgarbiony strasznie, biegł, nie szedł ze swym ciężarem, zdyszana piersią wołając gromko: – Za mną, chłopcy! Żwawo! Galopem!

Na dziedziniec wpadł chłopak rozczochrany, splekany, krzyczący.

– Ratujcie ludzie! tu tylu jest ludzi! Pali się u Mikołajowój, wszystko spali się... Stara z dziewczyną nic nie udźwignie...

Czerniawski stanął jak wryty i ręce załamał.

– Oj, biednaż kobieta, biedna!

Biedną była istotnie ta wzywająca ratunku Mikołajowa:

wdowa po kucharzu, restauratorka na małą skalę; całe jój bogactwo – łądle kotły i wory z zapasami surowej żywności, same rzeczy ciężkie. Namysłał się kilka sekund.

– Héj chłopcy, sześciu za mną do Mikołajowej! Czterech niech tu zostanie, tu już potrzeba mniejsza... rybacy przyszli!

Istotnie, przyszli do mnie także rybacy, szewcy i dorożkarze lub ich synowie. Czerniawski z częścią swoich tam pobiegł, gdzie jeszcze nie było nikogo.

Przez cały ten dzień piekielny, w kłębach dymu, upale ognia i chmurach kurzawy, widywałam go często tu i tam noszącego ogromne ciężary, wdzierającego się na płonące już strychy, odganiającego złodziei od stosów rozrzuconych i połamanych rupieci, a w powietrzu huczacém szalonemi rozpędami wichru, ludzkimi wrzaskami, wojskowemi sygnałami i kościelnemi dzwony, do ucha megoprzedzierał się głos ze zdyszanej wychodzący piersi, lecz rażny i rozkazujący.

– Héj, chłopcy, za mną, żwawo! galopem!

Z pod czoła zmiętego w tysiąc zmarszczek i siwiejącej czupryny, oczy jego świeciły płomieniem zapału.

\*

Nazajutrz, po tym dniu boleści i zagłady, o dość wczesnej ranniej godzinie, powiedziano mi, że z murarzem Czerniawskim stała się rzecz straszna. Posłałam tam natychmiast mego lekarza. W godzinę potem, z dłońmi przyciśniętymi do czoła, słuchałam

o czterech złamanych żebrach i nadwyrężeniu płuc tak silném, że w tym wieku... kto wie... czy uleczalném? Do czwartej godziny w nocy paliło się miasto. Około trzeciej nie miał już komu ratować mienia; zachciało mu się gasić ogień. Prosta historia: wdrapał się kędyś, na jakąś znaczną wysokość, stracił równowagę i, upadając, piersią i bokiem uderzył o jakiś twardy i kanciasty przedmiot.

Przed wieczorem wchodziłam na mały, wązki dziedziniec domku, którego okna prawie dotykają ziemi – i widziałam ten sam zielony ogródek, na którym przed laty ukradkiem patrzyłam. W pamięci mi zaśpiewało:

Tam na błoni błyszczą kwiecie,  
Stoi ułan na pikiecie...

Na spotkanie moje wyszła kobieta z rysami delikatnymi, lecz strasznie zwiędłymi od pracy i choroby, wysoka, chuda, zaledwie mogąca utrzymać się na nogach. Łzy rześiste ciekły ze spłowiałych jęj oczu, na wklęsłe i żółte policzki...

A dziewczyna jak malina  
Niesie koszyk róż!...

Na zewnętrznej ścianie domku kilka klatek, w których świergocą szczygły i gile. To czternastoletni Kazio, drugie ich po Marylce dziecko, ze sztuką wielką umie łowić te ptaki i tak je lubi, że ot, wprost, przepada za nimi! Chłopak żywy jak

iskra, z rumianą twarzą i lnianymi włosy, wybiega za matką z domku, ale zmieszany widokiem osoby obcej, chowa się wnet do jego wnętrza. Pies kundel już nie żółty, jak przed laty, ale biały w czarne plamy, szczeka na mnie trochę. Dwie małe dziewczynki wybiegają w celu poskromienia jego wojowniczych zapałów. Jedna, słuszniejsza, jak brat rumiana i żwawa, druga z twarzyczką i ruchami, przypominającymi wędnący w pąku kwiat. Ale po chwili, cała rodzina, wraz ze mną i kundlem, Żuczkiem, otacza łoże chorego, ubogie łożo, w izbie ubogiej i nieobszerniej, której, połowę zapełniają gospodarskie naczynia i murarskie narzędzia, a drugą połowę wielki piec z rozwiewnym niewielkim ogniem.

Gdy, stając u jego wezgłowia, pozdrowiłam go z cicha i prawie nieśmiało, oczy jego, głęboko wklęsłe, wśród białej jak chusta twarzy, utkwily we mnie długie spojrzenie. Poruszył ustami i tonem zapytania przemówił:

– Cóż tam... dzieje się... z tymi biednymi ludźmi?

Ale żona, kobieta, matka czworga dzieci, nie o ludziach w tej chwili myślała. Wybuchnęła pytaniem, co stanie się teraz z jej rodziną. Ona chorą jest i ledwie trzyma się na nogach; jedyna dorosła córka, wszystko za nią robić musi w chacie, chłopiec nic nie zarobi jeszcze, a te maleństwa... Wszyscy żyli z pracy ojca, tylko z jego pracy... a teraz... doktor powiada wprawdzie, że żyć on będzie, ale o pracowaniu niechaj ani myśli przez cały ten rok, a może i dłużej... a może i na zawsze! Czy poumierają z głodu? Sześć osób... Nie wyrzucała mężowi nic, o nie! robił to,

co uczciwy człowiek robić był powinien, tylko spracowane swe, wychudłe dłonie załamywała tak, że aż w stawach trzeszczały, a w splekanych jój oczach malowały się trwoga i żal bez granic. Marylka, wysmukła i zgrabna dziewczyna, z drewnianą łyżką w ręku stała przed ogniem nieruchoma, jakposąg; Kazio, z szarym kotem w objęciu, tulił się do najciemniejszego kąta, dwie małe dziewczynki, przysiadłszy na ziemi, szlochały zcicha, matczynym fartuchem ocierając oczy.

Stałam naprzeciw chorego i kiedym się weń wpatrywała, cała dusza moja zbiegła mi do oczu. Słuchał skarg żony i szlochania dzieci, w milczeniu. Na pomarszczone, rozstrojone jego czoło spadła głęboka zaduma, blade usta pod bujnym wąsem drgnęły, zapadłe oczy napełniły się smutkiem cichym, ale bezdennym. Milczał. Wspomnienia moje śpiewały:

Stój poczekaj moja duszko  
Gdzie drobniutką strzyżesz nóżką...

Kobieta pochyliła się i troskliwie, ostrożnie podniosła w górę, usuwającą mu się z pod głowy poduszkę. Kilka jój łez kroplistych spadło w siwiejącą gęstwinę jego włosów...

Jam z téj chatki, rwałam kwiatki  
I powracam już...

Nakoniec, spojrzenie jego zwróciło się na twarz żony, a usta zarysowały żartobliwy prawie uśmiech. Pocieszająco,

pieszczotliwie przesunął dłoń po jój rękę i zcicha przemówił:

«Z rana ci wianek uplotę,  
Na obiad dam szmer strumyka,  
Na wieczerzę... śpiew słowika...»

Straszne, chorą pierś rozedrzeć zda się mogące westchnienie, przerwało mu żartobliwą mowę. Zaniósł się kaszlem. Ból wyrwał mu z piersi parę mimowolnych jęków. Po kilku jednak minutach rzekł znowu do żony: – Chciałem cię trochę rozśmieszyć, bo tak desperujesz... A potem zwracając się do mnie:

– Co tam dzieje się z tymi biednymi ludźmi?

O, nieznany i maluczki! iluż wielkich tego świata pozazdrościć-by mogło wielkości twój duszy!...

### III. Wazon aurykli

Znowu wracam do ciebie czarnooka i blada twarzyczko siostry mojej. Zgastaś wcześniej, a teraz, gdy po cmentarzu miejsc znikłych chodzę i słucham szeptu wspomnień dalekich, dalekich, nie mam do kogo powiedzieć: pamiętasz?

Pamiętam, że było to w dzień Nowego Roku. Byłyśmy bardzo wesołe, bo ubrano nas w nowe sukienki różowe, i przeciw zwyczajowi od zwierciadła nie odpędzono, gdyżmy przed niem przez dobry kwadrans wykręcały się i skakały jak frygi. Niewiele po południu, wraz z matką naszą siedziałyśmy przy śniadaniu, gdy nagle widelce z rąk nam wypadły, okrzyki zachwycenia z ust się wyrwały i... zerwałyśmy się z krzeseł naszych, biegnąc ku drzwiom, nakształt ptaków lecących ku słońcu. We drzwiach stanął nasz ojczym i, śmiejąc się, wzniósłniewo w górę sporęj wielkości cukrowy wazon aurykli. Wazon był z czekolady, kwiaty i liście z zabarwionego cukru, ale tak kunsztownie wykonane, że wtedy przynajmniej przysiadz mogłybyśmy na naszą najpiękniejszą lalkę, albo najulubieńszą książkę, że były to aurykle prawdziwe, żywe, tylko co rozkwitłe. Ojczym nasz, to śliczne cacko postawił na stole, mówiąc: – Dla was dzieci na gwiazdkę!

Jakto, aurykle te do nas należć miały! Nasza to więc własność! O, radości! Do śniadania nikt-by nas już napędzić nie zdołał, lecz nikt i nie napędzał. Babka nasza wróciła z

kościół, przyszło paru przyjaciół domu i wszyscy bawili się radością naszą. Z rąk do rąk podawałyśmy sobie śliczny wazonik, wachałyśmy kwiaty cukrowe, szukałyśmy miejsca, na którym, według naszego zdania, wyglądać-by mogły najświetniej. Koniecznie starałyśmy się o to, aby każdemu wchodzącemu do mieszkania, aurykle nasze odrazu rzucały się w oczy. W tym celu pomieściłyśmy je na stole, stojącym przed kanapą, z którego to miejsca sromotnie zdjąć nam je rozkazano. Dziwiłyśmy się bardzo gustowi starszych, którzy cukrowych kwiatów na najwidoczniejszym miejscu bawialnego pokoju nie tolerowali, ale posłuszne i nieco obrażone, zanosłyśmy je do swojej sypialni i postawiły na oknie, tuż przed stołem, przy którym odbywały się lekcye. Przepadając zaczekoladą, doświadczyłam wprawdzie parę razy żywój pokusy ugryzienia malutkiego choćby kawałeczka z ładnie wyżębitego brzegu wazonika, ale wnet myśl tę odrzuciłam daleko, jako zawstydzającą, niemal świętokradzką. Klemunia, o trzy lata prawie ode mnie starsza, stawiając wazonik na oknie, rzekła:

– Jutro, kiedy przy lekcyi przyjdzie do téj obrzydliwój syntaxy, będę sobie patrzyła na te liliowe kwiatki!

W ciągu tego dnia wesołego usłyszałyśmy matkę naszą, zapytującą męża:

– Gdzie dostałeś taki ładny, cukrowy wazonik?

Ojczym nasz odpowiedział:

– U Kantlera.

Oddawna już to nazwisko nie było nam całkiem nieznanne.

Wyczytałyśmy je już nieraz na papierowych woreczkach i pudełkach, w których krewni i przyjaciele domu przynosili nam cukierki; widziałyśmy je także na szyldzie cukierni, znajdującą się pod balkonem starzej i wysokiej kamienicy, pod balkonem także bardzo zajmującym, bo podtrzymywanym przez dwie z kamienia wyrzeźbione syreny. Te syreny, jak wiadomo, w pół kobiety a w pół ryby, górną część ciała miały pomalowaną na różowo, a dolną na zielono. Na zgiętych ich ramionach wspierał się balkon z żelaznym ogrodzeniem, a podbalkonem, wystawą z żywych i cukrowych kwiatów, z ciast i cukierków, jaśniała cukiernia Kantlera. Widziałyśmy więc już nieco i wprzód o miejscu i człowieku, ale od czasu wazonika aurykli, miejsce i człowiek przybrały dla nas znaczenie pełne uroku, zaciekawiające, pociągające, prawie tajemnicze. O tym miejscu roiliśmy sobie dziwne dziwy, wyobrażając sobie, że jest pełnym najpiękniejszych wazonów z najpiękniejszymi kwiatami – i może jeszcze takich fontan cukrowych, jak te któreśmy parę razy oglądały z zachwyceniem, na wielkanocnych babach. Tylko, że te fontanny pewnie daleko wyższe, wyższe, aż pod sufit może wysokie. Dla twórcy naszego wazonika i tych innych cudownych rzeczy wyimaginowanych; czułyśmy żywą sympatią, a jeszcze większą ochotę zobaczenia go kiedykolwiek. Jak on może wyglądać ten cukiernik? W ogólności, ludzi tego gatunku, do jakiego należą cukiernicy, widywałyśmy niewielu, i to zwiększało naszą ciekawość. I jeszcze owe syreny! Pójść pod ów balkon, przypatrzeć się tym syrenom, i choć raz wejść do

cukierni Kantlera, stało się na pewien czas naszym marzeniem. Raz w czasie przejażdżki, zrobiliśmy nieśmiałą propozycję, czy nie można-by spełnić tych naszych chęci, ale towarzysząca nam starsza osoba odpowiedziała przecząco, dodając, że kobietom nie wypada wchodzić do cukierni. Dwie małe kobietki, wożone szybko odsyren i Kantlera zasmuciły się tém trochę, i potem już, wiedząc dobrze, czego się trzymać mają, nie kobiet, ale mężczyzn bliżej znajomych zapytywały nieraz:

– Czy pan był kiedy u Kantlera?

Zresztą, wszystko to długo nie trwało. Przybyły nowe zabawki i nowe dla wyobraźni dziecięcych przedmioty zajęcia. Ale, przez czas jakiś, wazonik aurykli był pociechą naszą w niejednym trudnym przejściu życia. Kiedy Klemunią syntaxa francuzka, a mnie kojugacye niemieckie – dwa przedmioty jednostajnie nas dławiące, bardzo już zmęczyły, podnosiłyśmy oczy na nasze liliowe kwiatki, i uśmiech prostował skurczone przez nudę linie naszych ust.

\*

Przyszedł czas, z którym opinia prowincjonalnego miasta, po długich wahaniach się i zwłokach, uznała jednak tę wszechświatową prawdę, że do cukierni kobietom wchodzić wypada. Z innej strony, dla mnie także przyszedł czas nieoglądania się na wszystkie opinie prowincjonalnego miasta. Wtedy poznałam Kantlera i ten jego przybytek, z którego na

moje dziecięce lata były strumieniem uciech. Był to przybytek taki, do jakiego najsurowszj nawet z westalek rzymskich wejść-by wypadało. Gospodarz jego wyglądał wcale inaczej, niżejmy to sobie w dziecięcych naszych rojeniach wyobrażały. Ojciec jego przybył tu niegdyś z Czech i ztąd brzmienie takie tego nazwiska, ale on sam urodził się w tém mieście, a firma jego, w czasie gdy z nią zabrała znajomość osobistą, liczyła lat czterdzieści. Sześćdziesiąt kilka lat życia i czterdzieści pracy, gęstą siwizną przysypały włosy, i w grube fałdy wygięły czoło tego twórcy cukrowych arcydzieł. Wysoki, gruby, ciężki, twarz miał głęboko śniadą, oczy nieco posępne, i łagodny, dobroduszny uśmiech pod siwiejącym ogromnym wąsem. Chodził powoli, ciężko i mówił zazwyczaj mało, rozgadując się tylko z tymi, którzy posiadali szczególne jego względy. Pomimo téj pozornéj ociężałości i małowówności gospodarza tego miejsca, wrzał w niem wielki ruch gospodarskiéj i przemysłowéj pracy. Gospodyni, dużo od męża swego młodszą a jakby umyślnie dla kontrastu z nim dobrana, bo o tyle cienka, ruchliwa i gadatliwa, o ile on był grubym, ciężkim i milczącym, krzątała się nieustannie po cukierni i tuż za nią znajdującém się swém mieszkaniu, sprząając, czyszcząc, rozmawiając, opowiadając, zabierając z gośćmi blizką i nieraz serdeczną znajomość. Obcej służby tam nie było, bo trzej synowie gospodarstwa, pacholeta wysmukłe i z rumianemi twarzami, dopomagali rodzicom w cukierni i w kuchni, z którój wciąż pod przewodnictwem gospodyni przynoszonajrozmaitsze i z wielkiém staraniem wykonywane

wyroby. Gospodarz stał za bufetem i milczącymi gośćmi albo krótkimi słowy dyrygował wszystkiem. Była cała jedna kategoria gości, której nie lubił, i gdy nikogo więcej prócz jej okazów nie było, zasiadał za bufetem, plecami prawie ku nim zwrócony i zagłębiał się cały w czytaniu gazety. Ale gdy przychodzili tacy, dla których miał sympatyę, wstawał, z lekka na powitanie skłaniał swą dużą, ciężką głowę i uśmiech pełen dziwnej dobroci rozjaśniał tę twarz wielką, śniadą, pomarszczoną i posępną. Duch najczystszygo patryarchalizmu panował w tym zakładzie, obsługiwanym przez ojca, matkę i trzech synów, strzeżonym pilnie od wszelkiej reklamy i wszystkiego tego... dla czego-by kobietom wchodzić doń nie wypadało. W pierwszym pokoju pito kawę i czekoladę, w drugim grano w bilard, a zamtąd już, przez drzwi osłonięte firanką, która-by mogła być umieszczoną w gabinecie starożytności grodzieńskich, dochodziły wszystkie gospodarskie rozmowy i gwary, dźwięki gam, wygrywanych na starym fortepianie przez małą córkę domu, a gdy urodził się syn jeszcze jeden, to płaczliwe krzyki tego niemowlęcia, na którego wspomnienie ojciec czynił ręką gości niedbały, a posępne swe oczy rozjaśniał na chwilę rodzajem tryumfującej radości; matka zaś z uśmiechem szczęścia na chudziej i delikatniejszej twarzy mawiała: – „Ot, jeszcze państwo zajmują się tymmalcem! Kłopot z nim tylko i nic więcej! “ – Widać jednak było wyraźnie, że przyjście na świat tego Benjamina wesoły promień rzuciło w nadeszły już wieczór ich życia.

Wszystko to było wielce patryarchalném, cnotliwém, wzorowem, ale trwać długo nie mogło. Zmieniają się czasy, obyczaje i potrzeby ludzkie. W mieście powstały dwie cukiernie, które daleko zręczniejsze od tój, umiały zgromadzić i wabić prowincjonalną publiczność. Powstały inowacje różne, jako to: pokoiki osobne dla gry kartowej, estrady, na których ukazywały się i popisywały sprowadzane z różnych stron szansonistki i t. d. Kantlera starzy znajomi jego zapytywali, dla czego choć w części nie stosuje się do nowych wymagań publiczności, ale on zacofanym był i z tym mianowicie kierunkiem ducha czasu pogodzić się nie mógł. Zapytywany, z groźnym marszem na wielkiem swém czole i posępnijszym niż kiedy wejrzeniem, odpowiadał:

– Ja do tego, panie dobrodzieju, niezdatny, bo to jest z przeproszeniem, paskudztwo!

Żona z żywości charakteru aż spluwała, słysząc o tém wszystkiém i, machając swemi chudemi rękoma, wołała:

– Żebym ja na to w swoim domu pozwoliła... a niedoczekanie ich!

Uwzięli się, i nietylko, że nie urządzili pokoikowi estrady, ale jeszcze zdjęli z bufetu swego wódki i likiery. Kiedy wchodzący gość, mianowicie z kategorii nielubianych, żądał wódki albo likieru, gospodarz, odrywając wzrok od gazety, grubym swym głosem odpowiadał krótko:

– Niéma wódki. Tu nie szynk, ale cukiernia...

Przed znajomymi i lubianymi tłumaczył się nieco obszerniej.

– Dawniej – powiadał – można było, czemu-by niemożna? Ale teraz – nie; cukierków nie jedzą, czekolady nie piją, tylko im wódki dawaj! A inny, panie dobrodzieju, to spije się jeszcze i legnie tu na kanapie, z przeproszeniem, jak świnia!

Widocznie, zepsucie czasu ciążyło mu na sercu i w niczém dopomagać mu nie chciał. Ale to zacofanie zakładowi na dobre nie wychodziło. Mijały czasem długie godziny, w których cukiernia była zupełnie pustą; paru starych emerytów flegmatycznie popychało kule bilardowe, ten i ów zaszedł i coś kupił; więcej nic. Cisza i dochodzące z mieszkania gospodarzy głosy rodzinnego życia. Zaczynający dorastać chłopcy nic już prawie do roboty nie mieli; właściciel zakładu ze stoickim spokojem, po dniach całych za bufetem siedząc, czytywał gazety, żona jego wyrzekała, że niéma nad czém pracować, i że, gdyby tak... co innego obmyślc. Obmyślili. Raz, kiedym z paru przyjaciół zaszła nie do cukierni, ale do prywatnego ich mieszkania, obwieścili nam oboje, że zwijają swój zakład, a za kapitalik uzbierany w ciągu kilkudziesięcioletniej pracy, kupują dwa domy. Kapitalik ten niezupełnie im wystarczał, trochę więc groszy dokończyli i kupują te dwa domy, co to państwo wiedzą, na Piaskowej ulicy, z weneckimi oknami i dużym ogrodem. Najstarszego syna wysyłają na naukę do piwowara, dwaj młodszy terminować będą w największej z miejskich piekarni; ten oto Benjaminek najmłodszy zostanie przy nich, bo córka w przeszłym już roku, dzięki Bogu, za mąż wyszła. Z pomocą krewnego swego ogrodnika, urządzają ogród

swój w ten sposób, że im jakieś dochody przynosić będzie. Nad dochodem pracować jeszcze mogą. Dochodami z dwóch domów prędko dług zaciągnięty spłaca. Odpoczną sobie. Swobodnie odetchną pod własnym dachem, na własnym kęsie gruntu, który po ich śmierci przyda się synom, i, o jak jeszcze! przyda się pewnie, szczególnież temu małemu Beniaminkowi, który teraz ma lat siedm, a którego ojciec najpewniej już dorosłym nie zobaczy. Siedmdziesiątkę już przeszedł, matka pięćdziesiąt lat liczy sobie zaledwie, ale te lata w ciężkiej pracy spędziła... Kto wieć tedy, ile jeszcze wieku zostało. Ale ostatki życia spędzą sobie wygodnie i błogo, umrą spokojni o byt i wychowanie najmłodszego dziecka...

Cieszyli się tak, że chuda twarz kobiety oblała się prawie gorączkowym rumieńcem, a posępnezwykle źrenice starca, z pod opadających na powieki gęstych brwi siwych, jaśniały, zda się, odrodzoną młodością. Na krzesłach i stołkach leżały, do przynosin przygotowane, stosy świeżo upranój, rozmarynem i miętą pachnącej bielizny; na oknie, czystym szafirem barwił się bukiet bławatków; chłopcy, w białych fartuchach zwijali się około pakowania odzieży i sprzętów. Przenosiny! przenosiny z cukierni staruszki do własnych, nowych, zielonych ogrodem otoczonych domów! Stary, gruby, ciężki człowiek, w szarym surducie i ze śniadą twarzą, promieniejącą w téj chwili szczęściem, na tacy podawał nam lody. Nie prosiłyśmy o nie. Sam po raz ostatni chciał uczęstować gości, należących do kategorii lubianych. Nie stapał tak ciężko jak zwykle,

owszem, przystąpił do nas prawie z podskokiem, i dziwnie giętkim, niemal fertycznym był ukłon grubiej jego postaci, gdy z najdobroduszniejszym ze swych uśmiechów, rzekł do nas: – Niech państwo będą łaskawi jeszcze raz pokosztować moich lodów... a może kiedy będę miał honor... może kiedy będę miał przyjemność... no, może tam kiedy przyjdziecie zobaczyć moje domki...

Znałam was dobrze domki stojące u brzegu cichej Piaskowej ulicy! Ładnie spoglądałyście na świat swemi dużemi weneckimi oknami, i ładny, duży zielony ogród otaczał ściany wasze nie rozległe, lecz nowe jeszcze, jędrne i proste! Mijałam was nieraz w dniach szczęścia i smutku, z radością w duszy, lub z raną piekącą w sercu, a zawsze uśmiechałyście się do mnie wiejącą od was świeżością i ciszą!

\*

Po tym okropnym dniu grozy i nieszczęścia, gdzie się podziała rodzina Kantlerów? Rozsypka była ogólną; przez dni kilka ludzie szukali się wzajemnie, błędząc po zgliszczach, koszarach, piwnicach, na pustyni wśród tłumu wołając swoich. Nakoniec powiedziano mi, że rodzina, o którą się dopytuję, mieszka w swoim domu. Jakże to być mogło? Ulica Piaskowa spłonęła przecież od końca do końca. Jednak, było to prawdą; mieszkali w piwnicy swego domu. O szarej godzinie, znalazłam ich siedzących na gruzach; ją, ze splecionemi dokoła kolan rękoma,

spoglądającą na spalony ogród; jego, plecami opartym o piec sterczący z pokruszonych cegieł, z najmłodszym synem u boku. Spostrzegłszy mnie, ruchliwa zawsze kobiecina zerwała się z ziemi i chwyciwszy moją rękę, powiodła mnie do ogrodu. Widać, że ogród ten, który przed rokiem uprawiać zaczęła, stał się jęj namiętnością. Szła i biegła, stawiała jak wryta i pochylała się ku ziemi, opowiadając, pokazując. Jak strumień gorący, słowa pośpieszne, łzami dławione, lały się z ust jęj. Te drzewa, które teraz pnie mają zczerniałe i gałęzie bez listka żadnego, były to grusze, jabłonie, śliwy. Tu miała przestrzeń, usianą sałatą i cukrowym grochem; tam rękoma własnymi zasadziła szereg malinowych krzaków; tu jeszcze rosły miesięczne poziomki, truskawki; tam był grunt, przygotowany na szparagarnią, a ówdzie maleńki ogródek, w którym mały Juliś (Benjaminek) kopał zagonki pod własne kwiatki i warzywa. Wszystko to już jęj dawało i nadal dawać miało pieniężne korzyści. Ale ona nie tych pieniędzy tylko żałuje. Rozkrzyżowała w powietrzu ramiona. – Jużem się ja do tego kawałka ziemi, jakby do rodzonego dziecka przywiązała. Każdą trawę tu znałam, do każdego krzaku w noc ciemną trafić-bym mogła... Myślałam, że tutaj wieku dokończę, a dziatki moje swoją dziatwę pod temi drzewami i na tęg trawie kołysać będą... – Co dzieje się z ich synami? Dla czego tu nie są? Piekarnia, w której pracowali, z powierzchni ziemi zniknęła; tułają się chłopcy po zgliszczach, beczynni, obdarci... Czemuż obdarci? Bo wszystka odzież rodziny, i te pachnące rozmarynem stosy bielizny, i wszystko, co mieli, co

przez dziesiątki lat zgromadzali, spłonęło w tym ot, ogrodzie, wraz z tym ogrodem... – Grunt wam pozostał, na którym domy stały... – A dług nasz pani? a dług? a dług ten? Zmierzchało. W zapadającym zmroku, pośród suchych szkieletów drzew, po trawach zeschniętych i sucho pod jej stopami trzeszczących wysoka, chuda kobieta, z twarzą o delikatnych rysach, zmiętą, gorączkowym rumieńcem okrytą, biegła tu i owdzie, prowadząc mnie za sobą, to stając jak wryta, to schylając się ku ziemi i drżące dłonie przesuwać po trupach roślin, jakby tam jeszcze szukała czegoś, co życiem drgnąć mogło pod jej dotknięciem...

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.